

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

# Pół wieku!

(Ciąg dalszy)

W ostatniej dobie — 1925/6 — dobiegającej mety półwiecza istnienia naszego Towarzystwa, Wydział jego pracuje pilnie i wydatnie. Czuwa niestrudzenie nad losami łowiectwa: wzmacnia swoje placówki delegackie w 13-tu powiatach, powołując dodatkowo do spełniania w nich opieki nad gospodarką myśliwską 26-ciu mężów zaufania i przyjmuje do towarzystwa 59-ciu nowych członków, wskutek czego poczet tychże wzrasta do liczby 1,300-tu.

Pozostając wciąż w ścisłej łączności z władzami kraju, wywalcza w dalszym ciągu zarządzenia, uchylające niejedno niebezpieczeństwo, jakie odbudowie łowiectwa zagrażało.

Z dwoma delegatami zawiązanego w Krakowie Towarzystwa łowieckiego na województwo krakowskie omawia kwestję zgodnego współdziałania z M. T. Ł. we Lwowie jako macierzą wszystkich towarzystw myśliwskich całej tej części Polski.

Dalej, kosztem 600 zł, drukuje 10,000 egzemplarzy kwestjonarjusza w przedmiocie rozmieszczenia zwierzyny łownej w Polsce, i doręcza go myśliwym do wypełnienia, a to w celu wydania „Geografji Zwierząt“, której opracowania podjął się znakomity przyrodnik prof. Janusz Domaniewski.

Ruch kasowy w tym czasie wzmógł się znacznie. Zamknięcie rachunków za r. 1925/6 wykazuje dochody w sumie 36,469 zł. z zapasem kasowym w kwocie 3,330 zł. Wobec tego pomyślnego wyniku Wydział dąży do zrealizowania postulatu tyczącego się przemiany „Łowca“ z miesięcznika na dwutygodnik.

W grudniowym zeszycie „Łowca“ zwrócono się do myśliwych z wezwaniem do zebrania dat ubitej u nas zwierzyny w sezonie polowań 1925/6, potrzebnych dla statystyki, na podstawie której Wydział zamierza podjąć starania o wydanie odpowiednich ustaw dla ochrony zwierzyny łownej, której stan jest zagrożony z powodu mającej wejść w życie reformy rolnej.

Nie dożyli dni jubileuszowych członkowie nasi: Stanisław Prek, Edward Staufer, Karol Karszniewicz, Tadeusz Cieński, Michał Jędrzejewski, Władysław Bielewski, Władysław hr. Michałowski, Jan Poklewski-Koziełło, Wacław Pasterczyk, Celestyn Morawski.

Poza czynnościami wyżej poszczególnionemi, uczestniczy też Wydział w obradach Komitetu budowy ołtarza św. Huberta, tudzież dużo czasu poświęca opracowaniu programu obchodu jubileuszu.

**Rok 1926.**

Pewnego dnia jego panowania — zegar dziejów naszego Towarzystwa wydzwania godzinę półwiekowej epoki istnienia i działalności tej instytucji.

Retrospektywny rzut oka w tę dal, mgłą czasu mocno już zasnutą, przypomina piszącemu te dzieje, ów błogi moment, w którym na wiadomość o powstaniu tego Towarzystwa, troski myśliwych naszych rozpłynęły się w fali radości.

O ileż więc promienniejszą od tamtej radością drgały w tym wielkim dniu serca myśliwych-weteranów, pamiętających ten doniosły czyn, zrodzony z myśli mężów, tak ogromnie zasłużonych, wskrzeszeniem w 1886 roku z martwoty, szlachetnych tradycyj łowiectwa polskiego.

Na ramionach ich wzniosła się ta potężna dziś instytucja myśliwska. Oni to utorowali następcom swoim szlak, którym kroczyła i wciąż naprzód kroczy praca ideowa, spełniana najgorliwiej w twardych zasadach poczucia obowiązku obywatelskiego, na pożytek kraju i gwoli sławie naszego myślistwa.

Poza wszystkiem atoli, co Towarzystwo to w epoce dziś minionej zdziałało na łowieckiej niwie, a pióro historyka skrzętnie zapisze — widomym znakiem umiłowania przez nas myślistwa i kultu św. Huberta, jest obecnie i będzie dla potomnych — kaplica, ufundowana ofiarnym groszem członków M. T. Ł. w kościele św. Elżbiety we Lwowie, poświęcona wiekuistej czci Patronowi myśliwych.

Jest ta kaplica zarazem też symbolem zbożnego wyczynu, dokonanego w ubiegłem półwieczu przez nasze Towarzystwo, oraz najchlubniejszem świadectwem jego dążeń do podtrzymania i utrwalenia pięknych tradycyj łowiectwa polskiego chwały i sławy.

*

**Złote Gody.**

Nadeszła wreszcie upragniona chwila poważna, w której myśliwi nasi w skupieniu ducha — stanęli na baczność!

W pierwszym dniu uroczystości jubileuszowych, mianowicie 16 czerwca 1926 r. o godzinie 8-mej, zebrała się w kościele św. Elżbiety gromadnie nasza Brać myśliwska, wszyscy członkowie Wydziału oraz całe prezydjum z Prezesem Towarzystwa na czele.

Przybyli też przedstawiciele naszych władz cywilnych i wojskowych, a więc: wojewoda Garapich, jenerałowie Sikorski, Thullie i Meraviglia.

Rząd reprezentował radca Min. roln. Juljan Eismond, Centr. Zw. Polsk. Stow. Łow. w Warszawie Świderski, Pol. Tow. Łowieckie w Warszawie dr. Zaborowski, myśliwych z Wielkopolski Metzig, a Tow. Łow. województwa krakowskiego jenerał Stiller.

Poświęcenia kaplicy dokonał dostojny Arcypasterz nasz ks. Bolesław Twardowski, poczem budujące do zebranych wygłosił przemówienie, następnie zaś odprawił pierwszą Mszę świętą przy ołtarzu patrona łowiectwa.

Z chóru rozległy się potężne tony „Mszy F.",wspaniałego utworu Józefa Bileczay'a, wykonanego przez Towarzystwo śpiewackie „Lutnia" z akompanjamentem orkiestry teatralnej, pod batutą ks. dr. Wyszyńskiego. Podczas „Offertorium" odśpiewała artystka opery Pastówna „Ojcze nasz" — układu Jar. Leszczyńskiego.

Zbiorowy nastrój ducha Braci myśliwskiej podczas tej uroczystości był korny i błogi.

Z podniosłego przemówienia ks. arcybiskupa Twardowskiego godzi się przytoczyć tu koniecznie, bodaj w skrócie, znamienniejsze ustępy:

„Kościół katolicki — powiedział Najprzywielebniejszy Arcypasterz — jest święty..., bo wychował świętych w każdym stanie: ma świętych królów, świętych uczonych, rolników i sługi. W tym niezliczonym zastępie świętych jaśnieje imię św. Huberta, dla myśliwych szczególnie drogie...

Od najdawniejszych czasów we wszystkich krajach chrześcijańskich łączą się myśliwi w hołdzie dla swojego Patrona, który w młodych latach swoich namiętnie oddawał się łowom.

W św. Hubercie szukają opieki i pomocy w trudach, a nierzadko w niebezpieczeństwach myśliwskiego życia, szczególnie przy bliskiem spotkaniu z grubym zwierzem.

Tem tłumaczy się zbożny dzisiejszy czyn fundowania ołtarza pod wezwaniem św. Huberta, któremu oddają się zebrani, prosząc Go, aby orędował przed Bogiem i strzegł ich w każdej przygodzie".

Dalej następuje przytoczenie nieco szczegółów z przepięknej legendy o żywocie tego świętego, zakończone następującemi słowy:

„Za to wyznanie wiary świętej, za hojne ofiary, jakie złożyliście, czcigodni panowie, w tych ciężkich czasach na budowę ołtarza, za to, że przyczyniliście się do ozdoby tego wspaniałego, ale dotąd pustego kościoła, składam serdeczną podziękę, oraz wam i rodzinom waszym błogosławię.

Niech Hubert Święty Patron wasz, otoczy was opieką w przygodach myśliwskich".

Kaplica ta jest dziełem artysty-malarza Kazimierza Sichulskiego. On jest twórcą obrazu, pod jego zaś kierownictwem wykonali: polichromię ścian absolwent Szkoły Przemysłowej Wójcik, ramę obrazu firma Koterba, a mensę kutą w tarnopolskim kamieniu firma H. Perrier — obie we Lwowie.

**Obrady Jubileuszowego Zgromadzenia.**

Tego samego dnia o godzinie 11-tej w obecności zgórą 100 członków i delegatów naszych, oraz przedstawicieli władz i Towarzystw łowieckich wyżej już wymienionych zagaił posiedzenie prezes Juljusz hr. Bielski następującemi słowy:

„Odwracamy ostatnią kartę historji 50-cioletniego istnienia naszego Towarzystwa Łowieckiego, pierwotnie Galicyjskiego, obecnie Małopolskiego i w tej chwili uroczystej stwierdzić muszę, że nową kartę zaczynamy w

myśl naszych zwyczajów staropolskich z Bogiem, bo z Bogiem nową tę kartę w dniu dzisiejszym w kościele św. Elżbiety rozpoczęliśmy.

Tak zaczynało dawniej i rycerstwo polskie każdą nową sprawę, tak samo my, odłam tego rycerstwa, z Bogiem na ustach i w sercu okres nowy z dniem dzisiejszym rozpoczynamy".

Po tym wstępie prezes składa w imieniu łowców całej Polski najgorętsze podziękowanie Czcigodnemu Arcybiskupowi Dr. Twardowskiemu, który raczył ołtarz poświęcić, do myśliwych najłaskawiej przemówić i udzielić im swego błogosławieństwa.

Następnie słowa szczerego podziękowania skierowuje ku wszystkim tym, którzy inicjatywą i pracą swoją oraz ofiarnością grosza do wykonania tego dzieła wiekopomnego i uroczystości dzisiejszej przyczynić się raczyli.

Dalej prezes najserdeczniejszymi wyrazami wita uczestników Zjazdu a w szczególności: wojewodę, przedstawiciela Rządu i wszystkich wyżej już wspomnianych delegatów Towarzystw łowieckich, którzy Zjazd jubileuszowy zaszczycili swoją obecnością.

Wkońcu oddaje hołd cieniom towarzyszy zmarłych w ostatnim okresie czasu, dodając do wymienionych w sprawozdaniu zgon Gorzeńskiego Ostroroga, nestora łowiectwa wielkopolskiego, którego pogrzeb dziś właśnie się odbywa.

Cześć ich pamięci wyrazili zebrani przez wysłuchanie przemówienia prezesa stojąc, co zostało zapisane w protokole obrad.

C. d. n.



JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

# O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie

I. Mój zeszłoroczny czterotygodniowy urlop nie był wypoczynkiem. Mając jaki taki uskładany grosz do dyspozycji, oraz wolny bilet kolejowy, wyruszyłem w podróż krajoznawczą po Polsce. Warszawa, Toruń, Gdynia, Hel, Poznań, Kórnik i Częstochowa, oto ważniejsze etapy mej podróży. Zatrzymałem się też w Krakowie, aby oglądnąć Park Ludowy na Woli Justowskiej pod Krakowem, zaciekawiony pomieszczonemi tam zwierzętami, będącemi zaczątkiem zwierzyńca, którym Kraków ostatnio żywo się zainteresował.

Zanim jednak przystąpię do opisania tego co widziałem i co zwróciło moją uwagę, pragnę na wstępie podać ogólną historję zwierzyńców krakowskich od lat najdawniejszych.

Dzisiejsza nazwa ulicy Zwierzynieckiej, oraz całej dzielnicy ,,Zwierzyniec" pochodzi niewątpliwie od jakiegoś zwierzyńca królewskiego lub starościńskiego, który się mniejwięcej znajdował w tych okolicach. Najprawdopodobniej był to zwierzyniec dla wygody króla. Zwierzyńce takie posiadał w dawnej Polsce nietylko król, ale niemal każdy magnat polski, dbając przez odpowiednich gajowych i dozorców o rozmnożę potrzebnej zwierzyny.

Jakób Haur w swej popularnej ongiś ,,O ekonomice ziemiańskiej generalnej", powtarzanej w licznych wydaniach (pierwsze wydanie: Kraków 1675) tak pisze o zwierzyńcach: „Panowie majętni, ile przy lasach i kniejach, zwykli stanowić dla uciechy i wygody swojej zwierzyniec, który jest similiter jako przy stawach sadzawka, potrzebny i wygodny: albowiem z sadzawki gotowa zawsze rybka, jakoteż i z zwierzyńca pewna na kuchnię będzie zwierzyna".

Nie były to dzisiejsze zwierzyńce, placówki kulturalno-pedagogiczne, a których też celem jest — między innemi — uratowanie ginących rodów zwierzęcych. W owych czasach nauka przyrody kopciuszkiem była w szkole, a wszelkiego zwierza bezmiar deptał polskie knieje i puszcze, więc zakładanie rezerwatów zwierzyny w dzisiejszem pojęciu — było co najmniej nieaktualne. Zakładano więc zwierzyńce blisko rezydencyj królewskich czy też pańskich, dla ich łatwej rozrywki, a głównie dla kuchni, aby każdej chwili zwierzyna pod ręką była.

Dokładną datę powstania i upadku krakowskiego zwierzyńca trudno jest ustalić. Jak się domyślać można z pozostałych śladów w historji, sięga on pierwszych wieków panowania Piastów, bowiem klasztor Panien Norbertanek, najdawniejszych zakonnic w Polsce został wybudowany przez Jaksę z Miechowa w drugiej połowie XII wieku i to już we wsi Zwierzyńcu, która

nazwę otrzymała po byłym ogrodzie królewskim zwanym pospolicie „zwierzyńcem“.

Franciszek Wężyk („Okolice Krakowa“) pisze:
„To miejsce z dawnych wieków Zwierzyńcem się zowie.
Tu w myśliwych gonitwach najpierwsi królowie
Pozbywając swych trudów, niedorosłe syny
Zaprawiali do bojów na zgonach zwierzyny“.

W zatwierdzeniu posiadań klasztoru Norbertanek z roku 1254, wymieniono między różnemi wioskami, lasami i łąkami i innemi posiadłościami klasztoru, jedynie i tylko przywilej myślistwa na bobry. Również i inne źródła współczesne nie wspominają nic o jakimkolwiek zwierzyńcu na tem miejscu, z czego wnosić można, że przestał on istnieć już w owych odległych czasach, względnie płoszona zwierzyna przez bliskość przedmieść wyniosła się dalej, w las okrywający wzgórza św. Bronisławy. Wzgórza te pokryte gęstym i ciemnym płaszczem lasu od dzisiejszego Salwatora aż do Chełma, nazywano w XV i XVI wieku „Zwierzyńcem“, dzisiejszą zaś ulicę Zwierzyniecką określano wówczas jako Półwsie Zwierzynieckie, gdzie były dwa ogrody królewskie, założone ponoś jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, nigdzie jednak niema wzmianki o zwierzyńcu. Gdyby w wieku XVI nazywano zwierzyńcem ogrodzony i strzeżony objekt łowiecki, a nie pewną połać lasu obfitującą w różnorodnego zwierza — to niewątpliwie mielibyśmy z owych czasów ślady po nim w rachunkach Dworu Królewskiego, gdyż utrzymanie takiego zwierzyńca nie obyłoby się bez wydatków. Jednakowoż wydatki królewskie połączone z myślistwem odnoszą się w XVI wieku jedynie do Puszczy Niepołomickiej.

Z powyższego wynika, że nazwa Zwierzyńca jest bardzo stara i sięga początków państwowości polskiej, a pochodzi napewno od zwierzyny. Jednak jak wspomniałem — ścisłych źródeł i pewnych dowodów w tej sprawie nie posiadamy. W braku dowodów tem ciekawszą jest tradycja, nazywająca stojący po dziś dzień przy ulicy T. Kościuszki jednopiętrowy zabytkowy domek z drewnianym ganeczkiem w stylu barokowym, zwracający na się uwagę swym staroświeckim wyglądem, „Domem Łowczego“. Nazwa ta pochodzi z XVIII wieku i być może, że oznaczała tylko mieszkanie łowczego.

O ile sprawa istnienia zwierzyńca w tej okolicy jest trudna do wyjaśnienia, o tyle istnienie menażerji królewskiej na Wawelu, poparte jest zachowanemi do dziś, rachunkami Dworu Jagiellońskiego, z których ważniejsze wyciągi poniżej podaję.

Utrzymywanie zwierzyńców t. zw. Bärengraben, Hirschgarten a przedewszystkiem menażeryj lwów, było w średnich wiekach Europy niejako obowiązkiem reprezentacyjnym dworów królewskich i książęcych. Głównie miasta włoskie hodowały z zamiłowaniem lwy i z Włoch przyszło to królewskie zwierzę do Polski, jak to wyjaśnia poniższy list Floretczyków z 23 maja 1406 r., pisany do króla Jagiełły.

„Gdy wielebny Jan, doktór dekretów, poseł i powiernik Waszej Łaskawości wracał z Apulji i prosił gorąco i uprzejmie z Waszej strony nasz rząd, aby mu dać l w y, które Wasz Majestat pierwej listownie i ustnie od naszych poprzedników upraszał, aby Waszej świętej koronie je pokazać, my więc znając szczególną miłość jaką Wasza Łaskawość Florentczyków otacza i pokre-

# Najpiękniejsze w poleskiej kniei dublety

## Wspomnienia z niedalekiej przeszłości

**napisał Poleszuk**

Wysoki, piasczysty nasyp toru kolejowego długą, wyciągniętą nitką przeszywał bezkreśne obszary błót i moczarów poleskich, gubiąc się w dalekiej perspektywie ciemnego, wysokopiennego boru.

Szary, letni przedświt spływał na tę, zaklętą w ciszę krainę, a wraz z nim budzić się zaczynało i senne, pełne niezmiennej melancholji życie poleskich obszarów. Od strony ciemnej linji dalekiej puszczy wypłynęły z podniebnych przestworzy dwa olbrzymie jastrzębie i, zataczając szerokie majestatyczne, powietrzne kręgi, zaczęły zniżać swoje władcze, królewskie loty, wypatrując zaszyte w mech i wrzosy zatrwożone ofiary. Czarny bocian planował w stronę wiadomych mu bagien, a czujny kozioł ostrożnie żerował na mokradle, usianem żółtemi złocieniami kwiatów i soczystą zielenią liści smacznego „łopotu“. Co chwila podnosił od apetycznego wczesnego śniadania swą zgrabną, kształtną i upiększoną parą rożków główkę i pilnie, nerwowo nasłuchiwał, czy nie zbliża się z otaczających zarośli jakieś niebezpieczeństwo. Uspokojony, zanurzał na chwilę swoją ruchliwą czarną mordeczkę w kwietne puchy i znowu ją badawczo nerwowo podnosił, szybko przeżuwając soczystą zieleń.

Naraz znieruchomiał.

Wyciągnął długą, zgrabną szyjkę, postawił nerwowe łopatki uszu i słucha... Obrócił się szybkim ruchem na cienkich, suchych nóżkach, zanurzonych po kolana w wodzie, wpatrzył się w jeden punkt otaczających bagno zarośli i skamieniały słucha i węszy, poruszając nerwowo czarnemi chrapkami ruchliwego pyszczka... Zerwane liście łopotu nieruchomo zwisają i tkwią w zaciśniętych szczękach... Słucha i wietrzy... Po chwili zniżył głowę i odwróciwszy się od zwietrzonego niebezpieczeństwa, ruszył szybkim, nerwowym krokiem, wysoko podnosząc z wody cienkie patyki swoich szczudeł, w przeciwną stronę żerowiska. Po kilkudziesięciu krokach znowu stanął w słuch zamieniony, obrócony w niebezpieczną stronę i naraz, zwinąwszy się na miejscu, pomknął jak strzała po bagnie, rozbryzgując srebrzyste perły, grającej w promieniach wschodzącego słońca, wody.

Z zarośli wynurzyły się sylwetki dwóch poleszuków.

Stanęli na skraju bagna i patrzyli za pomykającym kozłem.

— „Czutka chworoba“ — zamruczał starszy, — su-

wieństwo, którem byliśmy połączeni ze sławnej i niezapomnianej pamięci... ś. p. Ludwikiem, królem Węgier, a pragnąc sobie zjednać przychylność Waszego Tronu jednego l w a z l w i c ą temuż panu Janowi kazaliśmy na Wasze imię wydać, abyście mieli obie płci zwierząt do rozmnożenia. Są to l w y florentyńskie i dosyć, o ile natura pozwoli oswojone... a gdy l w ó w konstytucja nie sprzyja zimnu, koniecznem jest, aby Wasz Majestat, jeżeli, jak myśliwy, życzy sobie, aby te zwierzęta potomstwo wydały, kazał baczyć, aby je chowano w miejscu ciepłem... Raczy zatem Wasz Majestat podarek ten łaskawie przyjąć etc."

Lwy te dały początek menażerji na Wawelu, która z małemi przerwami przetrwała do czasu przeniesienia stlicy do Warszawy w roku 1606. Oprócz lwów były tam jedynie lamparty, niedźwiedzie i rysie. Menażerja ta była więc skromną, ograniczająca się tylko do trzymania drapieżców, choć niewątpliwie pokazywano tam nieraz małpy i papugi, jako rzadkie i oryginalne dary posłów zagranicznych. Jest wiadomość, że trzymano również wielbłądy na Wawelu, używano ich jednak tylko do celów roboczych.

Oto niektóre pozycje z zapisków i rachunków Dworu Królewskiego, odnoszące się do menażerji.

R. 1510 — II. Jakóbowi Włochowi, na opatrzenie lamparta...

R. 1553 zapisano: Zygmunt August, wyjeżdżając do Knyszyna poleca Justusowi Decjuszowi opiekę nad lwicą pozostawioną w Zamku i wkrótce potem prosi, aby ją wysłać za nim do Wilna.

R. 1564 zanotowano: nie było żadnej z tych bestji.

R. 1572, 28 czerwca: Cieślom co poprawowali parkanów u lwów . . . . na ganek do kraty, kędy do lwów wyglądają albo patrzają . . . . summa in provisionem leonum . . . . 291, 8 fl. (florenów).

1 stycznia do 31 grudnia 1572 r. wydano na lwy i na lwice wszystkiego . . . . 363,28 fl.

Die 14 Augusti, dano myśliwcowi królewskiemu co niedźwiedzie przywiózł z Warszawy na Zamek . . . 15 fl.
niedźwiedziom naprędce na chleb . . . . 6 fl.
i tem od łupienia lwa co z niego skórę zdjęto 13 fl.

17 Augusti, od wyprawienia skóry lwiej samcowej dano kuśnierzowi 4 fl.

18 Augusti. Cieśli jednemu, co go niedźwiedź obraził, gdy je przepuszczano do nowych komórek, dano mu . . . . 10, za wrzeciąże i skoble do chlewów, do niedzi dano . . . .

kłodce do tych chlewów . . . .

myśliwcowi królewskiemu co był z niedźwiedźmi, bo tu mieszkał tydzień niż chlewy pobudowano . . . .

R. 1582 die 13 Decembris przywieziono lwów dwuch.
Od króla Jegomości dano im na mięso . . . . 315 fl.
Chłopom co lwy składali na Rapsztyn (kamienica zwana rabsztyńską na Wawelu) . . . . 4 fl.
Na słomę tym lwom do klatek . . . . 9 fl.
Za stryczki do wiązania klatek na sanie, kiedy lwy ciągniono na górę, dano . . . . 1,9 fl.

Chłopom co lwy nosili na górę . . . .

Wydanie pieniędzy na wszelakie potrzeby na lwa pod Lubranką (baszta na Wawelu), także też i na lwy

---

chy, zarośnięty, w długą bronzową postrzępioną i zaroszoną od dołu świtę, szare płócienne portki, łapcie i baranią czapę ubrany. Pleciona z tyłu kobiałka, z przytroczonemi do niej zapasowemi łapciami zwieszała mu się u boku, na sznurku przez ramię przerzuconym. W ustach tkwiła samodziałowa, zlekka kurząca fajka, a w ręku długi kij leszczynowy.

— Czort s nim — odpowiedział mu niechętnie z rosyjska towarzysz, podobnie jak i pierwszy ubrany. — Niekohda nam tut tieper z kozłami wozitsa. Wiedi skorej dalsze.

Ruszyli miarowym krokiem brzegiem bagna.

— Czy jeszcze będzie daleko! — zapytał znowu drugi po rosyjsku, ale z jakimś dziwnym, niewyraźnym akcentem i jakoś inaczej, nieumiejętnie drepcząc po kępiastem bagnie i często szukając równowagi w oparciu długą leszczynową laską.

Zapytany odpowiedział po dłuższej pauzie, jakby coś obliczając, niechętnie:

— Zaraz dojdiom do kolei, a tam bude szcze z poł czasa dorogi.

— Czortowa tundra — zaklął zasapany i jakiś dziwnie, jak na poleszuka, nerwowy towarzysz.

W milczeniu doszli do nasypu kolejowego, ale zanim nań weszli z zarośli, ostrożnie rozejrzeli się w obie strony, biegnącej w nieskończoną dal, pustej linji.

Poleszuk, pomimo starczego wyglądu, zręcznie elastycznym krokiem wszedł na wał nasypu, a jego dziwny, zagadkowy towarzysz z trudem, przy pomocy kija wdrapał się na stromą pochyłość wyżwirowanego plantu, którego brzegiem szybciej ruszyli gęsiego w prawą stronę.

Po pół godzinie stanęli na wąskim, parometrowym kamiennym moście, przerzuconym przez błotnistą, leniwie płynącą rzeczułkę, kręto wijącą się wśród porośniętego niską, anemiczną sosną i brzeziną mszaru. O kilkadziesiąt metrów od mostu teren po obu stronach nieco się podnosił i porośnięty był wyższym, jakby ściskającym przeszywający go tor kolejowy, lasem.

Ruchliwszy z podróżnych, jakby czegoś podniecony, nerwowo rozglądał się po terenie.

— Miesto choroszeje — zawyrokował.

Poleszuk obojętnem milczeniem przyjął tę uwagę, a wiercący się towarzysz, jakby sam do siebie projektował:

— Zdieś nużno razwińtit' relsy, tam postawit' signał, a tam razmiestim towariszczej — wskazał ręką w przylegające po obu stronach zwarte zarośla. — A do są-

młode w tym roku 1582 przywiezione od Króla I. Mci.

. . . . co przywieziono parę lwów na miejsce starych. Opatrzycielowi po groszy 24 na tydzień . . . . fl. 104, 13,9.

Oto wszystko co w rachunkach wynaleźć się dało.

C. d. n.



Dr. STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

# Gady w podaniach ludowych

Nasze obyczaje ludowe są tak bogate, że wśród ludów świata, zajmujemy pierwsze pod tym względem miejsce.

Czytając ilustrowane kalendarze u nas wydawane i porównując je z podobnemi wydawnictwami innych narodów, zastanowić nas musi przedewszystkiem olbrzymia ilość podań, legend w naszych kalendarzach, a których niema w almanachach innych narodów.

Przyczyna jest poważna.

żaden naród nie wnikał tak głęboko w tajniki życia przyrody, jak my.

Podania ludowe, tyczące zjawisk przyrody i jej stosunku do człowieka, są dla zoologa bardzo ciekawe.

Tak samo jak historyk z dawnych pozostałych śladów życia ludów wytwarza sobie obraz przedhistorycznej przeszłości — tak też zoolog dopatruje się w podaniach ludowych o zwierzętach, wielkich prawd, które lud żyjący od wieków w ścisłym związku z otaczającą go przyrodą, odgadł na drodze długiego doświadczenia.

Z braku wiedzy ubrał spostrzeżenia swe w szatę fantastyczną.

Gady są najpoważniej reprezentowane w podaniach ludowych.

Wśród nich jaszczórka jest najczęściej wymieniana, prawdopodobnie dlatego, że nierzadko spotkać ją można koło siedzib ludzkich.

Ponieważ jaszczurka należy do tego samego gatunku

siednich stanij daleko budiet? — spytał nagle poleszuka.

— Do Łowczy bude wierstow 8, a do Łunińca 15.

— Charaszo. Tut ono i budiet — przypieczętował zagadkowy wędrowiec.— Pojdiom obratno.

— Poleszuk z niezmąconym spokojem ruszył wymierzonym krokiem wzdłuż plantu kolejowego z powrotem, a towarzysz jego dreptał nerwowo z tyłu.

Naraz poleszuk stanął, odchylił w pół obrotu głowę i słucha.

— Szto tam? Szto tam takuje Mykita? — zapytlował niespokojnie podbiegając drogi i jakby już szukając obrony w grożącem niebezpieczeństwie, wziął za rękaw śwityny towarzysza.

— Pojezd ide z Łowczy — odparł spokojnie zagadnięty.

— Idiom w kusty. Idiom, Mykita, skareje. Nie nada sztoby nas tut widzieli — i pociągnął poleszuka z nasypu w krzaki.

Od zachodu szedł głuchy daleki grzmot ponad wierzchołkami lasu... coraz wyraźniejszy, głośniejszy... zadźwięczał głuchym, przyziemnym metalicznym dźwiękiem po szynach... przeleciał głośniej przez mostek i pobiegł gdzieś dalej po nitce nasypu.

Po paru minutach zamajaczył w dalekiej przestrzeni parowóz pociągu, pędzącego w stronę mostu od Łowczy. Rósł, jakby pęczniał w oczach i wreszcie przeleciał przez mostek, zacichając i niknąc stopniowo, podobnie jak i wyrastał.

Bagna i bory znowu zaległa śmiertelna cisza.

* * *

Z jednej z węzłowych stacji poleskich kolei miał za kwadrans odejść pociąg w stronę Łunińca.

Ogromny hall stacyjny wypełniał ruchliwy tłum spieszących na różne pociągi podróżnych.

Podjazd dworca oślepiły na moment smugi silnych reflektorów i po chwili zatrzymał się przed schodami wyładowany po brzegi duży, otwarty Brück, z którego przedniego siedzenia wyskoczył w strzeleckiej liberji chłopak i otworzył drzwiczki samochodu.

Psie radosne szczekanie, wycie i skomlenie uderzyło w sklepienia podjazdu, a z wnętrza samochodu wysypały się cztery czarne, podpalane ogary, parami powiązane na smyczach. Rozradowane zakończeniem pierwszego etapu niewygodnej i nudnej podróży, wyskakiwały radośnie po twardym gruncie, szczekaniem dając wyraz swojemu psiemu zadowoleniu, że wreszcie ta nudna niewola w pędzącej, jak apokaliptyczna jakaś bestja, maszynie, już się skończyła.

C. d. n.

gadów co i wąż, więc eo ipso daje ludowi dostateczne powody, by zaliczać ją do rzędu złośliwych i niewdzięcznych.

Powiadają, że jaszczurka po dokonanym akcie miłosnym, samczykowi, mężowi swemu głowę odgryza.

Jaszczurka, według dawnych legend, wywodzi się z jajka, które zniósł kogut.

Bazyliszek, bliski krewny jaszczurki, zabijał ludzi wzrokiem i dlatego mówiono:

„Nie spoglądaj na bliźniego — okiem bazyliszkowem“.

Czarownice, wędrując na Łysą górę, nacierały ciało swoje rozmaitemi maściami tłustemi i sadzami. Do przyrządzania tych kosmetyków używały one sadło i mięso jaszczurek.

Złośliwy zabobon poczytuje plemię jaszczurcze za narzędzie zemsty.

Żywą jaszczurkę posiekać na drobne kawałki i podać ją w potrawie, było równoznaczne z otruciem. Ze spożytych kawałków jaszczurczego mięsa wylęgały się w brzuchu po pewnym czasie młode jaszczurki i powoli zjadały wnętrzności człowieka, który w męczarniach umierał. Rozmaitemi lekami wypędzano je z żywota człowieka, ale choć kłębami z niego wychodziły, od śmierci uratować go to już nie mogło.

Prawdopodobnie mamy w tym wypadku niezrozumiały u dawnych ludów objaw u człowieka tasiemca, a u zwierząt motylicę.

W dawnych czasach mniemano, że młode jaszczurki nie wylęgają się, tylko wygryzają z łona matki. Matka po połogu zdychała. Dlatego też skazanego na śmierć ojcobójcę zaszywano w wór i wkładano do wora prócz psa i koguta, także jaszczurkę.

Padalec, bardzo niewinny i pożyteczny gatunek jaszczurki, był bardzo poniewierany.

Przypisywano mu nietylko złośliwość ale i jadowitość.

Padalec był gorszy od psa wściekłego, mówiono bowiem:

„Bardziej się chronić trzeba padalca, niż wściekłego psa“.

Zabobon nakazywał przy spotkaniu padalca, zabić go kijem, który potem bezwarunkowo trzeba odrzucić, Kij, którym zabito padalca, wzięty w rękę, sprowadza choroby skórne: skóra jak łupież łuszczyć się będzie i odpadać.

Skoro przypadkiem padalec prześlizgnąłby się po oczach człowieka, wtedy groziła człowiekowi ślepota.

Starej daty kłusownicy są zdania, że najlepiej bije strzelba, jeżeli choćby jeden raz przez jej lufy przepuścić nabój jaszczurczy.

Najwięcej zabobon ten rozpowszechniony był u Litwinów.

Zdobywszy rusznicę, umiano ją też uczynić celnie strzelającą.

Łożysko strzelby musiało być z korzenia suchej brzozy stojącej na rozstajach i pod którą zakopano wisielca. Korzeń brzozowy trzeba było wykopać w dzień zaduszny, dwoma staremi łopatami.



PIENIAKI Fot. St. Cieński

Lufy osadzone na takiem łożu nigdy nie zawiodą, jeżeli się je nabije, jeśli nowe, ładunkiem żmii czarnej z jasnym zygzakiem na grzbiecie i ostrym szponem u ogona.

Król kłusowników Łagunas w taki sposób przyrządzał sobie swoje strzelby.

Strzelbę naładował prochem i poszedł w lipcowy, upalny dzień do lasu szukać żmii. Znalazłszy ją, podsunął lufę pod pysk. Gad właził w otwór, a wtedy Łagu-

nas zatkał czemprędzej otwór zawczasu przygotowanym czopem z kości ludzkiej i niósł broń do domu. O północy podczas pełni wychodził ze strzelbą z domu i mierząc do tarczy księżyca, strzelił. Jeżeli tak się strzelbę ostrzela, to nigdy się nie chybia. Nawet nie mierząc — trafia celnie.

Nie wszędzie jednak jaszczurka lub padalec, są w poniewierce.

Tylko w tych okolicach, gdzie rzadko się je spotyka, uważane są jako symbol czarci. W tych zaś okolicach, gdzie obok jaszczurki i jadowite gady bytują — tam cieszy się ona sympatją.

Według mniemania ludu, ostrzega jaszczurka śpiącego w lesie człowieka, przed zbliżającą się żmiją, biegając mu, lub przełażąc po twarzy — aby go zbudzić, Zdarzało się, że przebudzony jednocześnie spostrzegł żmiję i jaszczurkę, i nie przyszło mu to na myśl wcale, że jaszczurka właśnie przy nim szukała schronienia przed żmiją.

Zależnie od okolic, wąż jest czczony, lub przeklęty.

Dom, pod którym wąż zaskroniec obrał sobie legowisko, uważa się za szczęśliwy.

Kto węża zabije — tego przez siedm lat nieszczęście prześladuje.

Przechowywanie żywego, lub zabitego zaskrońca jest zadatkiem dobrego powodzenia.

Twierdzą w niektórych wsiach, że węże krowy doją, które wskutek tego, więcej mleka dają. Krowa za zabitym swym wężem-przyjacielem, rozpacza i tęskni, nie jedząc, aż sama zdechnie.

Brać węża w rękę ludzie nie lubieli i odważniś taki otrzymywał przydomek czarownika.

Dzięki swej budowie, wąż potrafi w kłębek się zwijać i przez najmniejszą szparkę się przecisnąć.

Raz wieśniak w polu znalazł na pół zamarzniętego węża. Za pazuchę go włożył, ogrzał i ożywił. Wąż przyszedłszy do sił, wgryzł się w ciało wieśniaka, że ten wkrótce zmarł. Prawdopodobnie dlatego mówią, że skąpy lub niewdzięczny ma węża w kieszeni lub w sercu.

Tam gdzie wężów nie lubiano, mówiono:

„U skąpca goście — jak w izbie wężowie".

Z węża wyrabiano dryjakiew (roślina skabioza), maść gojącą rany.

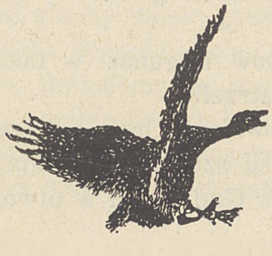
„Niemasz nic tak złego, żeby się na dobre nie przydało: bywa z węża dryjakiew".

Chytrość węża również weszła w przysłowie.

Mówiono:

„Bądźcie mądrymi jak wężowie".

Albo: „Wolę jawnego nieprzyjaciela — aniżeli chytrego „węża".



MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

# Zdemaskowanie myszołowa

Przytaczam tylko skonstatowane fakty:

1. Zacznę od myszołowa, który w grudniu z. r. obrał sobie za teren swych łowów mój ogród i folwark i przez prawie półtora miesiąca potrafił salwować swe zbójeckie życie ze wszelkich opresyj: na samotrzask nie uderzył, a na skuteczny strzał podejść się nie dał.

W oczach służby folwarcznej wziął ze stadka kuropatw, trzymającego się pod gumnem 2 kuropatwy, obydwa razy za późno spostrzeżony przez ludzi, aby obronić kuropatwy, a widziany zawsze i przez mego furmana, który dobrze rozróżnia myszołowa od gołębiarza.

W oczach mego służącego wziął gołębia, rzuciwszy go swem uderzeniem w locie w śnieg, a dołek wyciśnięty w śniegu z pierzem i kroplami farby oddalony od ściany mego domu o jeden krok.

Resztki z 2 innych gołębi i gawrona zjedzonych w tym klombie smereków, w którym on zwykle przesiadywał, kładę też na jego rachunek. W końcu znikł, niewiedzieć kiedy i gdzie, ale zdaje się, że śruciny obrywane przy każdym strzale, dopełniły potrzebnej miarki.

2. Równocześnie w styczniu b. r. strzeliłem innego myszołowa na resztkach wziętej świeżo kuropatwy.

3. Równocześnie w styczniu b. r. po strzałach do kaczek (na oparzeliskach) spadł jeden kaczor o 200 kroków za mną; w tej chwili uderzył na niego myszołów, ale spłoszony krzykiem mego furmana, nie podjął go.

4. Także w styczniu b. r. jadąc saniami dołem wzdłuż wysokiego brzegu drogi, widziałem, jak myszołów, nie widząc mnie, bo zjawił się z przeciwnej strony wysokiego nasypu, uderzył, bezskutecznie wprawdzie, na 10 do 15 kroków od moich sanek z rozwartemi szponami na stadko kuropatw, kryjące się w krzaku tarniny na grzbiecie tego nasypu; tarnina ocaliła kuropatwy, a bliskość sanek odpędziła narazie myszołowa.

5. W Chorobrowie, majątku mych rodziców, złapał się tej zimy myszołów na gołębia w samotrzask.

6. Tamże tej zimy przyniosła kobieta ze wsi do dworu żywego myszołowa, złapanego na jej podwórzu na kaczce.

7. Tamże przed kilkoma dniami złapał się w lesie na zrębie myszołów w żelazko nastawione w śniegu przy nadgryzionym zającu.

8. Także w Chorobrowie tej zimy na brzegu remizy uderzył myszołów w oczach gajowego 3 razy na zająca, który schronił się z powrotem w remizie.

9. W majątku Starogród tut. powiatu, PP. Kosińskich przyniosła niedawno kobieta ze wsi żywego myszołowa, którego złapała na swem obejściu na kurze domowej.

10. W majątku Chyżowice pow. Hrubieszowskiego zabił P. Erazm Tuszowski myszołowa zajadającego kurę świeżo na podwórzu wziętą.

11. W majątku Szarpańce tut. powiatu obserwował P. Stan. Biliński, jak 3 myszołowy biły na zupełnie zdrowego zająca, który potrafił się w końcu w kupkach nawozu tak ukryć, że zaniechały dalszego pościgu. Ten wypądek obserwowany dawniej.

12. Przed kilku laty wybrałem się sankami z schönauerem na lisy, mając przedtem wstąpić na obiad do mych rodziców do Chorobrowa. Po drodze strzeliłem na znaczną odległość myszołowa, ale z powodu spóźnionej pory, nie chcąc już zjeżdżać z drogi, zostawiłem go w polu. Zaraz po objedzie wyjechałem, i na miejscu, gdzie leżał zabity myszołów, zastałem dwa, z których jednego znów zabiłem. Podjechawszy, aby je podjąć, znalazłem z pierwszego, zabitego przed dwoma godzinami tylko: głowę, skrzydła i szpony, resztą podzieliły się krewniaki.

Oto mała wiązanka faktów dobitnie ilustrujących „niewinny“ żywot tego „wilka w owczej skórze“.

A gdyby nie ogólny wstręt do pióra u czytelników „Łowca“, to na „wołowej skórze“ nie spisałby wszystkich jego naturalnie skonstatowanych krwawych przewinień; wszak wiadomo ogólnie, że na kosze z gołębiami w rewirach używających je łapie się rocznie spory procent myszołowów, i że często kończą swój bandycki żywot na zatrutej padlinie.

Zdaje się, że wszelkie komentarze zbyteczne? A jak wytłumaczyć sobie tę wyrobioną opinję niewiniątka?

Za czasów ś. p. Kazimierza Wodzickiego po lasach i polach wschodniej Małopolski mało kicało zajęcy, a kuropatwy do wielkiej należały rzadkości. Nic więc dziwnego, że wówczas nie zdołano zaobserwować, jak sobie myszołów potrafi swoje skromne „mysie“ menu urozmaicić kuropatwą, a czasem nawet, jak się uda i zajęczą pieczenią.

Niezawodnie ostra zima zaostrza mu apetyt.

Ale z tych kilku przytoczonych faktów wnioskować słusznie można, że w dobrze kuropatwami obsadzonym rewirze muszą one częściej z nadażającej się sposobności korzystać, tylko w mniej śnieżne zimy nie daje się to tak łatwo zauważyć; bo dla mnie przynajmniej dziś już nie ulega żadnej kwestji, że one **potrafią** wziąć nietylko kuropatwę ale i gołębia a w korzystnych okolicznościach nawet i zająca, o co ich tradycja, sięgająca czasów śp. Kazimierza Wodzickiego, nawet nie posądzała!

Że hodowcy drobnej zwierzyny byli zmuszeni zerwać z tą tradycją, jest rzeczą ogólnie znaną, o czem świadczy choćby notatka, przez Dra H. Malsburga z Gródka Jagiell. aż w „Łowcu Polskim“ (Nr. 7 z 16 lutego b. r.) podana — lecz niestety pokutuje ona jeszcze w szerokich warstwach zwłaszcza starszych myśliwych i w sferach oficjalnie łowiectwem się zajmujących.*)

---

*) Nasze zapatrywanie w powyższej sprawie wyraziliśmy w zeszłym numerze Łowca i mimo naprowadzonych tu faktów go nie zmieniamy. Red.

Gen. WALERY MARYAŃSKI

# Kilka uwag o konstrukcji modnych drylingów

Potrzeba jest matką wynalazków i tej zawdzięcza swoje powstanie broń uniwersalna t. j. dryling.

Istnieją bowiem tereny myśliwskie, w których jest tak różnorodna zwierzyna, że myśliwy nigdy nie jest pewny, czy polując z bronią śrutową, nie znajdzie się nagle w sytuacji, wymagającej broni kulowej —i odwrotnie.

Wszak każde polowanie np. na Podkarpaciu nie wyklucza spotkania w tym samym miocie dzika, wilka — a nawet, gdy św. Hubert bardzo łaskaw — to i rysia, a także słonki — nie mówiąc o lisach — no i o biednych szarakach.

Dźwiganie dubeltówki i sztućca jest rzeczą uciążliwą, a przedewszystkiem zmiana w danej chwili sztućca na dubeltówkę i odwrotnie jest zawsze z trudnością połączona.

W Europie, głównie Polska i Niemcy są krajami*), w których właśnie z powodu tej różnorodności zwierzyny, dryling przed inną bronią ma rację bytu i dlatego nie od rzeczy będzie zaznajomić Szanownych Czytelników z najnowszemi postępami, jakie na polu udoskonalenia tej broni technika poczyniła i to jest cel, który sobie w niniejszym artykule wytknąłem. Chcąc o tem mówić — ustalmy najpierw warunki, którym racjonalnie skonstruowany dryling ma odpowiadać.

Czego więc żądamy od drylinga?

1) D o b r e g o strzału śrutem, celnego i s k u t e c z n e g o strzału kulą.

Czasy w których mawiano, że „dryling strzela albo dobrze kulą — w takim razie bije kiepsko śrutem, lub odwrotnie“ — minęły już dawno; z chwilą bowiem, gdy do luf śrutowych zastosowano jako materjał stal zamiast damastu a wydoskonalenie maszynowego wiercenia i „choków“ postawiło konstrukcję luf śrutowych na tej wyżynie, że źle strzelające lufy śrutowe już do rzadkości należą — z tą chwilą był problem dobrze śrutem strzelających drylingów definitywnie rozwiązany.

Celny bowiem strzał z lufy kulowej był właśnie zawsze łatwo osiągalny — o ile dany rusznikarz zechciał sobie trudu zadać przy ostrzelaniu broni — a myśliwy w dalszym ciągu dobrej i właściwej amunicji kulowej używał — a przytem broń należycie w porządku utrzymywał.

Rozchodzi się jeszcze o skuteczność strzału kulowego.

Która kula najlepiej zabija — to problem, nad którym tysiące ludzi medytuje i eksperymentuje — a którego mimo to dotąd definitywnie nie rozwiązano.

Anglicy, mający ogromne pole do praktyki w swoich

---

*) O Bolszewji nie wspominam, bo przy obecnym politycznym ustroju tego kraju nie ma mowy tamże o jakimś postępie cywilizacji i kultury.

koloniach — lubują się w dużych kalibrach, Amerykanie wolą mały kaliber, zato olbrzymią chyżość.

Jeden z naszych największych myśliwych, który kilkakrotnie odbywał wycieczki myśliwskie do Afryki i oprócz z lwami, bawołami i t. p. także ze słoniem i nosorożcem miewał spotkanie — twierdzi, że 6,5 mm Mannlicher-Schönauer jest bronią najzupełniej wystarczającą na tę zwierzynę i że tylko rozchodzi się o właściwy pocisk.

Zaś Wilhelm Mattenklodt — jeden z matadorów myśliwych południowo-wschodniej Afryki uważa, że tylko Mauser kal. 11,2 mm (przy 5,5 gr bezdymnego prochu i kuli o pełnym stalowym płaszczu) jest właściwą bronią na zwierza afrykańskiego.

Wyszedłbym poza ramy powyższego artykułu, gdybym na ten temat chciał się dłużej rozpisywać.

Streszczę się krótko — stwierdzając rzecz zresztą znaną, że strzał kulowy jest tem skuteczniejszy, im większa chyżość pocisku i im większy kaliber.

Chyżość jednak odgrywa tu dominującą rolę.

Wracam do tematu t. j. do konstrukcji drylingów.

Jeszcze przed wojną światową, była skala nabojów kulowych w zastosowaniu do broni „łamanej" (t. j. otwierającej się, jak zwykle dubeltówki) a w szczególności do drylingów dość ograniczona.

Na przeszkodzie stały względy konstrukcyjne, mianowicie obawa, że albo dryling wytrzyma pewnie eksplozję danego naboju, będzie jednak potwornie ciężkim, albo jego waga będzie znośna, ale będzie zachodziła obawa, że po pewnej ilości strzałów broń rozleci się w kawałki.

Obecnie przy zastosowaniu najnowszych gatunków stali, odznaczających się niezwykłą wytrzymałością i pewnych konstrukcyjnych ulepszeń odnośnie do zamknięcia — można mieć dryling o znośnej wadze do prawie każdego rodzaju naboju.

Np. onegdaj miałem sposobność oglądać dryling t zw. „podwójny kulowy" kal. $\frac{16-6{\cdot}5}{6{\cdot}5}$ roboty Heima w Suhl, przy którym, jako ładunek kulowy zastosowano t. zw. „rumuński patron" $\left(\frac{6{\cdot}5-59}{R}\right)$ tj. 2,7 gr bezdymnego prochu, pocisk płaszczykowy 10,3 gr, który ma $V_{25}=800$ ms przy ciśnieniu około 3,300 atmosfer — a więc jeden z najsilniejszych ładunków kulowych, którego przed 15 laty zastosować do broni łamanej żaden rusznikarz nie byłby się poważył.

Kto jest amatorem dużych kalibrów, ten może mieć dryling w kal. 10,75 mm (4,2 bezd. prochu, Rotweil Nr. 5, pocisk 22 gr o płaszczu stalowym i początkowej chyżości: $V_{25}=670$ msec. który specjalnie na łosie, niedźwiedzie i t. p. zwierzynę się nadaje i prawdopodobnie na każdego afrykańskiego gruboskórca przy użyciu odpowiedniego pocisku wystarczy.

C. d. n.

# Notatki bibljograficzne.

## Z głosów prasy o „Wspomnieniach" Wodzickiego.

W *„Kurjerze Warszawskim"* (Nr. 37., z dn. 7. lutego b. r., wydanie wieczorne, str. 5.), pojawiła się, z powodu nowego wydania „Wspomnień z życia łowieckiego", obszerna, fejletonowa recenzja Z. Dębickiego, jednego z najznakomitszych krytyków doby obecnej. Powtarzamy ją w całej jej pięknej osnowie dla tych Czytelników „Łowca", którzy nie mieli sposobności zapoznać się z nią w oryginale.

Kazimierz Wodzicki nie żyje już dawno. Umarł w r. 1889-ym, a więc czterdzieści lat temu. Pozostała jednak po nim pamięć, jako po znakomitym myśliwym i równie znakomitym pisarzu. Jego „Wspomnienia z życia łowieckiego" słusznie uważane są za arcydzieło literatury łowieckiej. Zresztą, nietylko krytyka ma o tem takie zdanie. Najlepszy i najsprawiedliwszy sąd o tej przepięknej książce wydała czytająca publiczność, która dawno rozchwytała i wcieliła na zawsze do swoich bibljotek domowych dwa pierwsze wydania „Wspomnień".

Obecnie, z inicjatywy małopolskiego Towarzystwa łowieckiego otrzymujemy w nakładzie księgarni Gubrynowicza i Syna we Lwowie trzecie ich wydanie*). Znaczy to, iż książka może jeszcze liczyć na pokup.

Cóż w niej jest takiego, co może jej zjednać czytelników w tak mało czytającem, jak nasze, społeczeństwie i w dobie takiej, jak dzisiaj, obojętności dla literatury?

Talent pisarski? Zapewne. Nie był go Wodzicki pozbawiony. Ale nie był on pisarzem zawodowym. Zaczął pisać dopiero na starość: pióra imał się z amatorstwa. Nie mógł współzawodniczyć z takim np. współczesnym sobie Janem Zacharjasiewiczem, który pisał daleko łatwiej i płynniej od niego, a którego, pomimo to, dzisiaj nikt już nie czyta. Wodzickiego tymczasem czytają i będą czytali.

Dlaczego?

Dlatego właśnie, że niema w nim nic z literatury, że niema tam żadnego zmyślenia artystycznego, żadnej „wizji rzeczywistości", na której opiera się powieść, ale jest sama rzeczywistość. Niema tam także ludzi, niema ludzkich typów i charakterów, tj. tego, co zmienia się i przemija, jest natomiast tylko to, co zostaje, trwa, żyje ciągle, od wieków jednakowem życiem — przyroda.

Powiedzieć mi ktoś na to może, że i tu zachodzą zmiany, że z powierzchni ziemi znikają knieje, pełne dzikiego zwierza, a na ich miejsce przychodzi pług i przeobraża nowiny w uprawne pola.

Prawda, ale nie wszędzie. Są jeszcze w Polsce odwieczne lasy, są jeszcze takie wertepy, gdzie człowiek rzadkim bywa gościem.

Tam właśnie polował przed laty Kazimierz Wodzicki i tam do tej pory nie wiele się zmieniło — w górach karpackich. A jeśli się nawet co zmieniło, jeśli gdzie topór wystraszył zwierzęta, to przecież wieje ztamtąd ku całej Polsce jakimś szerokim tchem i jakiemś niespożytem pięknem. A ten właśnie dech szeroki i to nie-

*) Autor oceny miał, jak z tego widać, przed sobą trzecie wydanie, drukowane nakładem księgarni Gubrynowicza, nie zaś wydanie drugie, znane naszym Czytelnikom, a drukowane nakładem M. T. Ł. z okazji 50-lecia „Łowca".

*W. Z.*

pożyte piękno Wodzicki doskonale odczuwał. Przez to będzie nam zawsze blizki i drogi: nam — to nie znaczy tylko myśliwym, łakomie chłonącym jego opowiadania o doznanych przygodach, lecz wszystkim miłośnikom ziemi ojczystej i jej krasy.

Cóż bo to za przedziwny kraj: „urocze niebo, góry, stykające się z chmurami, istny Olimp bez bogów, w dolinach snujące się srebrzyste strumienie w ramach kwiecistej murawy".

„Nie było tam drobnego zwierza — opowiada Wodzicki — nie było grubej zwierzyny, lecz co się uchowało, rozrastało się w olbrzymie rozmiary, istne przedpotopowe potwory. Odyńce tam żyły z groźnemi szablami, z czubami na głowie, z grzywą rzeczywistą na krzyżach, podniesioną do góry, — był pojedynek tak rozzuchwalony, że od psów nawet nie trapiony, rzucał się na ludzi, baby i pastuchów, szukał człowieka, aby z nim walkę stoczyć, i to w biały dzień. Najodważniejszemu drgało serce, a nieraz najciętsze psy wzięły ogony pod siebie i przyznały się do tchórzostwa. Żyły tam niedźwiedzie, czarne i bure, a rogacze tak duże i szerokie w krzyżach, jak daniele".

W tej to okolicy polował w roku 1839-tym jeden z najświetniejszych myśliwych polskich i zarazem, kto wie, czy nie jeden z najbystrzej obserwujących faunę miejscową przyrodników. Bo Wodzicki nie był tylko zdobywcą trofeów łowieckich. Z każdego polowania, z każdej włóczęgi po tych lasach dziewiczych, przynosił on z sobą do domu daleko cenniejszą od kłów dzika i rogów jelenich zdobycz — wzbogaconą mnóstwem wrażeń różnolitych duszę własną. Z tych wrażeń układają się jego opowiadania myśliwskie. One to stanowią dzisiaj najtrwalsze ich walory, które oceni, obok myśliwego, każdy artysta i każdy przyrodnik.

Ileż tu barw roztartych na palecie, ile głosów ziemi, ile pogodnego błękitu nieba, ile bezpośredniego, szczerego obcowania z życiem leśnem, ile przyjaźni dla ogarów i kundysów, towarzyszących łowom... A jakąż przepyszną to wszystko napisane polszczyzną! Orzeźwia ten język, taki czysty, taki rdzennie polski, tak *rasowo* swój, tak zdrowy i jędrny w sobie, obmywa nas z kurzu zachwaszczonej dzisiejszej mowy „miejskiej", jak woda kryniczna, uczy myśleć i czuć inaczej.

Dla tego języka, obfitującego w słownictwo bogate, a tak mało dzisiaj nawet przez pisarzy — poza jednym Weyssenhoffem — znane i używane, „Wspomnienia" Wodzickiego powinny się stać lekturą jaknajpowszechniejszą, kto wie nawet, czy nie obowiązkową lekturą szkolną. W każdym razie nauczyciele przyrody w szkołach średnich powinni baczną zwrócić uwagę na tę książkę i polecić ją najgoręcej swoim uczniom. Niechże w czasach, kiedy wilk jest już tylko *lupus in fabula* przeczytają„ jak to się jeszcze przed laty sześćdziesięciu polowało na wilki „z prosiakiem" lub na mądrego niedźwiedzia w kniei karpackiej.

* * *

## O propagandę książki myśliwskiej.

Pod tym tytułem ukazał się w *„Łowcu Polskim"* (Nr. 11., z dn. 16. marca b. r., str. 189) artykuł p. Juljana Ejsmonda, poruszający zagadnienie wielkiej doniosłości, a przyznające Małopolsce zaszczytne, bo pierwsze miejsce pod względem zasług na polu literatury łowieckiej. Uważamy za konieczne i ten także artykuł powtórzyć tu w całości:

Dużo mamy w Polsce kulturalnych i prawidłowych towarzystw, kół i kółek łowieckich, których zadaniem jest krzewienie kultury wśród myśliwskiego ogółu. Piękne są statuty tych organizacyj, a o popieraniu wydawnictw myśliwskich żaden z tych statutów nie zapomina. Zastanówmy się tak jednak między sobą, bez skrupułów, szczerze i otwarcie, ile towarzystw, kół i kółek łowieckich stosuje się do tych wytycznych, ile z pośród tych prawidłowych organizacyj posiada rzecz najważniejszą dla członków — myśliwską bibljotekę, zaopatrzoną w nowości wydawnicze?

Łowiectwo jest nauką, jak każda inna, opartą o nauki przyrodnicze, których postęp wpływa na rozwój wiedzy myśliwskiej. Myśliwy, stojący poza nawiasem tych zainteresowań, nie może być uważany za prawidłowego i kulturalnego obywatela z pod znaku św. Huberta. „Trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty". Choć, mówiąc nawiasem, i w owym wieku złotym trzeba było uczyć się, aby osiągnąć pewien poziom niezbędnej w życiu łowieckiem kultury.

Wracam do postawionego na początku niniejszego artykułu pytania i zwracam się wprost do zarządów organizacyj łowieckich w Polsce z konkretnem pytaniem: czy towarzystwo (koło, kółko) posiada myśliwską bibljotekę? Od odpowiedzi na to pytanie zależy mój pogląd na kulturalną pracę danej organizacji.

Zasłanianie się brakiem literatury fachowej czy też beletrystycznej (bo i ta uczy), jest nonsensem. Polska literatura łowiecka tak samo w dziedzinie pięknej jak i ścisłej (monografje) stoi dziś w Europie na bardzo wysokim poziomie, a zainteresowanie się nią zagranicy stwierdza, iż nie podlegamy patrjotycznemu złudzeniu, dowodząc nieodzownej konieczności zapoznania się z nią każdemu, kto ma pretensję do tytułu prawidłowego myśliwego.

Jeżeli „dzielnicowo" zastanawiać się będziemy nad uświadomieniem pod tym względem sfer myśliwskich, dojdziemy do niechybnego wniosku, że najwyżej stoi tu Małopolska i b. Królestwo Kongresowe. Wileńszczyzna czyta zastraszająco mało mimo powstawania tam placówek kulturalnych, które winny szerzyć czytelnictwo. Miejmy nadzieję, że to się zmieni na lepsze. Wielkopolska jest jeszcze całkowicie pod wpływem niemieckiej literatury myśliwskiej, z bardzo nielicznemi wyjątkami, i jakgdyby nie dostrzegała wspaniałego, bujnego rozkwitu narodowego piśmiennictwa myśliwskiego. Zachodzi tu straszliwa dysproporcja między tak doniosłą rolą, jaką słusznie odgrywa Wielkopolska w hodowlanych poczynaniach kraju, a stosunkiem jej do prasy i literatury, będących najważniejszą osnową i podstawą rodzimej kultury łowieckiej, traktowanych tam dziś — powiedzmy to otwarcie — po macoszemu. I tu należy mieć nadzieję, że w najbliższym czasie organizacje łowieckie przełamią opór jednostek i założywszy bibljoteki myśliwskie, zajmą się racjonalną propagandą polskiej książki łowieckiej.

Uwagi moje nie są, broń Boże, oskarżeniem tych czy innych towarzystw, tych czy innych kół i kółek, lecz stwierdzeniem, że jest tak, jak być nie powinno.

Brak pieniędzy nie może być uważany za dostateczny powód do poniechania stworzenia bibljotek myśliwskich. Koszty założenia bibljoteki są minimalne. Wystarczą tu najzupełniej kary pieniężne za przekroczenia regulaminu myśliwskiego danego towarzystwa.

Oprócz dzieł ściśle łowieckich (fachowych i beletrystycznych), bibljoteka zawierać powinna książki podróżnicze i przyrodnicze, związane pośrednio z myślistwem.

# Sprawy Towarzystwa

**Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 28. marca 1929 r.**

Przewodniczy wiceprezes C. Czarkowski-Golejewski, obecni: wiceprezes A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: Inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, Dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz; zastępcy: M. Chrzanowski, St. Jaśkiewicz, Dr. Fr. Piechowski i prowadzący protokół W. Wesołowski.

Sprawozdanie Komisji zjazdowej i premjowego strzelania przyjęto do zatwierdzającej wiadomości.

W poczet członków przyjęto:

Jana Cieńskiego w Oknie powiat horodeński i Teofila Miłosza we Lwowie.

**Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 6 kwietnia 1929.**

Przewodniczy wiceprezes A. Sander, obecni wiceprezes: A. Mniszek, członkowie Wydziału T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz i Dr. W. Ziembicki.

Nieobecność usprawiedliwili: C. Czarkowski-Golejewski, St. Jaśkiewicz i H. Prek.

Umówiono sprawę ewentualnego udziału M. T. Ł. w Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu i wybrano dla niej osobną Komisję.

W myśl uchwały powziętej już na posiedzeniu w dn. 11 marca br. postanowiono zwołać zjazd Delegatów M. T. Ł. w dniu 9 maja br.

**Do Panów Delegatów!**

**W myśl uchwały Wydziału z dnia 6 kwietnia 1929 r. zapraszamy Panów Delegatów do Lwowa na dzień 9 maja 1929 r. o godzinie 10-tej przedpołudniem do sali Tow. Kredytowego ziemskiego przy ul. Kopernika 4 na konferencję z następującym porządkiem dziennym:**

**1) Z doświadczeń stosowania w praktyce nowego prawa łowieckiego.**

**2) Sprawozdanie Delegatów o stanie zwierzyny.**

*Prezydjum Wydziału M. T. Ł.*

Sprostowanie.

W Nr. 7 str. 113 kolumna I-sza, wiersz 34 od góry zamiast: „trzy foksteriery biegnące" ma być „trzech foksterierów biegnących".

# Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 10 zawiera: Józef Miedziński: Zwierzęta a straszaki. — Wystawa Łowiecka w Poznaniu. — J. Woszczynin: Z Pętli. — Emil Karney: Jamnik i foxterrier. — Inż. W. Krawczyński: Z łowisk Ordynacji łańcuckiej. — Wł. Janta-Połczyński: W sprawie osiedla bobrowego w Wielkopolsce. — W. S.: W sprawie bociana. — A. Brehm. — Ze Stowarzyszeń Myśliwskich. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe. — Strzelnictwo. Odpowiedzi Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 11 zawiera: Józef Miedziński: Zwierzęta a straszaki (Dokończenie). — Stanisław Kamocki, Dyrektor Instytutu Łowieckiego: Dostosowanie terenów łowieckich do potrzeb racjonalnej hodowli zwierzyny. — Swinarska: Ratowanie zwierzyny. — Emil Karney: Jamnik i foxterrier. — Juljan Ejsmond: O propagandę książki myśliwskiej. — Józef Wł. Kobylański: Z literatury łowieckiej. — Z Kapsztadu do Nairobi. (Przygody samochodowe i myśliwskie). — Z żałobnej karty. — Z Centr. Zw. Polsk. Stow. Łow. — Kronika Myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe. — Strzelnictwo.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 12 zawiera: Stefan Ryszkiewicz: Na wilki. — S. Kamocki, Dyr. Instytutu Łowieckiego: Dostosowanie terenów łowieckich do potrzeb racjonalnej hodowli zwierzyny. — Jadwiga Swinarska: Racjonalna hodowla. — Zdzisław Kleszczyński: Wesoły kącik. Moja ustawa łowiecka. — Z Kapsztadu do Nairobi. — Korespondencja „Łowca Polskiego". — Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe. — Strzelnictwo.





**TREŚĆ NUMERU 8:**



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32